

Jestem czarownicą.

Ale nie taką z bajek, co straszy dzieci, chowa się pod łóżkiem. Nie mam miotły ani wielkiego kotła i spiżarni pełnej pajęczyn. Jestem studentką na uniwersytecie w małej wiosce w centralnej Anglii, Keele. Czarownicą, tak, ale tą dobrą.

Chociaż, szczerze mówiąc, nie mam prawa, by oceniać swoje dobro. Bo sięgając po tę moc, już z samej definicji występuję przeciw naturze. Choć od dziecka mama uczyła mnie wszystkich tajników magii runicznej, gestowej, umysłowej, telekinezy, zaklinalnia w przedmiotach ułamkach dusz, nigdy nie uważałam tego za coś oczywistego. Jak nikt inny zdawałam sobie z grożących mi konsekwencji. Bo przecież właśnie ignorancja, ta przekłeta ignorancja w połączeniu z ogromną mocą zabiła moją matkę.

Pierwszy raz zakochałam się rok temu.

Studiowałam fotografię. Ciemna była moim królestwem. Przesiadywałam tam godzinami, tworząc fotografie w setkach różnych klimatów, w zależności od mojego nastroju. Zmiany były niemal niedostrzegalne, niektórzy faktycznie ich nie widzieli. Szczegółiki łatwo przegapić: wygięcie brwi, kącik ust, błysk z oku, cień w tle.

Zobaczyłam go na dyskotecce, tańczył, wyginając się jak wąż. Chociaż koleżanek godzinami uczyłam, jak przykuć do siebie uwagę tego wymarzonego, do Jacka podeszłam czysta.

Studiował prawo, jak większość prawników był przesądny. Wiele razy prosił, żebym mu powróżyła z kart. Pierwszy i ostatni raz uległam dnia, gdy zdjął ze mnie powłóczystą spódnice i ciemny sweter. Siedzieliśmy przy stoliku w akademickiej sypialni, na parapecie paliły się świece. O nastrój zadbał Jacek, ja nigdy nie przywiązywałam do tego wagi.

Rozłożyłam karty, przełożyłam, rozsypałam. Nigdy nie odczytywałam tarota tak, jak to robiły "czarodziejki" z telewizji. Dla mnie on był tylko latarnią, pokazującą drogę. Resztę musiałam sama sobie dodać.

Zamiast siedmiu, odsłoniłam sześć kart. I już wiedziałam, że tej jednej decyzji będę żałować do końca życia.

Kłamałam. Kłamałam jak nigdy w życiu, bezwstydnie, uparcie. Mówiłam fehu (bogactwo), choć widziałam thurisaz (cierń). Widziałam naudhiz (przymus, potrzeba), mówiłam wunjo (rozkosz). I wreszcie eihwaz. Symbol cisu, magii i śmierci.

Przewijając czerwoną wstążkę na ręce Jacka, wyszeptalam mu prosto w oczy, że będzie szczęśliwy.

Prawdy zdradzić mu nie mogłam. Nie wolno przeciąć drogi śmierci, nawet gdy jakimś cudem się ją zobaczy. Taka ingerencja w siły, nad którymi nie mamy władzy zawsze wiedzie do tragedii. To właśnie pewność, że ona jest silniejsza, zabiła mi matkę. Zanim umarła, wymogła jeszcze na mnie przyrzeczenie, że nigdy, przenigdy nie będę próbowała przeciwdziałać śmierci.

Zgasiałam świece, zapaliłam kadzidła i usiadłam przed nim na podłodze. Kazałam mu uklęknąć. Posłuchał bez słowa.

Zamknęłam oczy. Nigdy nie wymawiałam dziwnych zaklęć, nie krzyczałam. Na jego czole, starannie, by się nie zorientował, Wyrysowałam paznokciem pentagram, symbol prawdy i doskonałości.

Pocałował mnie i powiedział, że nigdy nie było mu tak dobrze. Uśmiechałam się wtedy i nawet później, gdy już wyszedł.

Jacek zginął dwa dni później, w wypadku samochodowym.

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelkiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

lina_91, dodano 26.12.2008 15:48

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.